Nr. 26. Lwów, — 1898 r. Wydawnictwa Rok XX. Serya zmieniona.

GONIEC i ISKRA.

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów: 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów: 10. ct. w a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i pierwszego dnia każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pisma humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek,** wychodzące dwa razy na miesiąc: 8. i 23.. oraz **bezpłatne premia.** Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem i premiami** wynosi. tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr.. półrocznie 4 złr.. rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów »Gońca i Iskry«. kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki.* W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie. we Francji i innych krajach. oraz w Ameryce północnej 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce południ., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem. lub za miejsce jego. Nadesłane po 25 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki i z Brazylii najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi lub milrejsami *w listach rekomendowanych*, albo także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora. W dnie wychodzenia pism, gdy przypada niedziela, lub święto — numera wychodzą po niedzieli, lub po święcie.

Właściciel i naczelny redaktor: **M. Dzikowski-Chamski.**

Od Administracyi.

Dla zalegających w prenumeracie.

Prosimy stanowczo i usilnie o oaesłanie pocztą zalegających należytości, o które w przeciwnym razie zmuszeni będziemy upominać się otwartemi kartami korespondencyjnemi. Zwracamy też uwagę, że zwlekanie, z odesłaniem zaległej prenumeraty wyrządza krzywdę wydawnictwu i naraża na straty — a praca redakcyj polskich pism zasługuje na szczere obywatelskie poparcie.

Dla pp. Prenumeratorów w Ameryce.

Przy jednym z poprzednich numerów zawiadomiliśmy tych wszystkich panów w Ameryce, którzy zalegają w prenumeracie, aby, jak najrychlej odesłali należytości pocztą.

Powołując się na to poprzednie zawiadomienie dodajemy, że jeśli w najkrótszym czasie zaległa należytość odesłaną nie zostanie, upominać się o nią będziemy publicznie, z imienia i nazwiska, jak to jest przyjęte w amerykańskich pismach.

Niekochany.

Obrazek z Zaduszek.

W warsztacie cicho. Czeladź wcześniej, niż zwykle wyszła na miasto. Majster pozwolił. W mieszkaniu cicho. Tylko w wiszącej lampie brzęknie czasem, tylko maszynka benzynowa z gotującą się wodą bełkocze. Przy stole siedzi majster Szymon z żoną Agatą. Nic nie mówią, jeno spoglądają po sobie, po kątach, łzawo. Wszystko mają, dostatni kawałek chleba, w warsztacie gotowej roboty i obstalunków moc, grosza uskładanego nieco, dobre imię u ludzi — wszystko, tylko niema komu tego zostawić. Pobłogosławił Bóg we wszystkiem, tylko w dzieciach nie uszczęśliwił.

Przyszło jedno — już z chorobą na świat przyszło. Nikłe, bledziuchne, ze smutkiem w oczach. Siadywało po kątach na pokrzywionych nóżkach, marniało, aż zmarniało. Nie żałowali nawet kaleki — Janka. Lepiej, że to Pan Bóg zabrał.. Zapomnieli — zapomnieli zupełnie, bo im, ludziom zdrowym, z fizycznej pracy żyjącym, taki chyrlaczek do serca nie przypadł. Nie kochali — zapomnieli.

Dał Bóg drugie — Frania. Chłopak, jak z obrazka. Włoski złote, ślepki, jak bławaty, buzia, jak jabłuszko. A jaki silny! W trzy kwartały chodził sam o swojej mocy! matkę gonił, do ojcowskiego zydla przybiegał i śmiał się — śmiał, tak ładnie, tak dźwięcznie, jakby kto perły po srebrnej tacy rozsiewał.. Rósł w oczach. Po roku to już do kominka z zielonych kafli sięgał; w drugim roku młotka się ojcowskiego imał i znalezione ćwieki do podeszew w podłogę wbijał! Zuch chłopak! a ładny, jak malowanie! a pieszczoch! a milutki, choć zbytnik. Bywało, uchwyci matkę za fartuch, szarpnie i urwie po obszewkę, tylko pasek zostanie... Albo ojcu... to tabakierkę upatrzy — tabakę wysypie, albo piasku domięsza i śmieje się w głos, aż mu modre ślepki, niby gwiazdki świecą!

I jak tu takiego nie kochać!

Kochali strasznie.

Czemuż go teraz niema? Czemuż odleciał ich chłopaczek złotowłosy? Miałby akurat na Gody cztery lata skończone. Taki zdrów, taki rzeźki! — parę godzin przechorzał i už go między nimi nie było. Wyprawili mu pogrzeb suty, we łzach topiąc boleść rodzicielską. Pół roku mija, a pamietają, jak dziś. Trumienka biała, wybita atłasem, ze złotym galonem, usłana miękko... Na poduszeczce leży kochana główka Frania z zamkniętemi oczkami... Już się nie śmieją, jak dawniej! już nie patrzą! już nie widzą, że im, klęczącym u trumny jedynego kochania rodzicom, serce się krwawi!

Pół roku temu! Boże, mój Boże!

Pół roku temu, codziennie — oboje, wracając z miasta, nieśli dla synaczka podarek — to konika, to trąbkę, to kruchego ciastka kawałek.. Codziennie coś kupili Franiowi — dziś tylko w jedne Zaduszki mogą dziecinę obdarować!

. . . .

Na stole przed Szymonowstwem pełno kwiatów, smutnych kwiatów... Nieśmiertelniki białe, żółte, różowe... jak twarzyczka Frania.

Matka sama splata wianek — ojciec podsuwa pęk po pęku... Nic nie mówią, tylko wzdychają żałośnie, spoglądając na zielony kominek kaflowy, gdzie Franio najbardziej lubił siadywcć. Nic nie mówią, tylko chlipią wargami, bo im słów do wyrażenia boleści brak.

Cóż sobie powiedzą?

Niema kochania, niema!

Majster Szymon wydobył tabakierkę — łza spadła do wnętrza. Pani Agacie upadł kwiatek na fartuch — w bek!

Uderzyli w płacz oboje. Łzy rozwiązały usta.

— A kupiłeś tłustego do lampek? — spytała, ocierając oczy rękawem pani, Agata.

— Kupiłem.

— A bukszpanu?

— Na Powązkach kupimy.

I znowu w płacz oboje. Pani Agata wije wianek — majster Szymon podsuwa kwiatki. Wianek gotów — tylko atłasową wstążką przewiązać... i jutro na mogiłkę Frania.

Zakipiała maszynka. Szymonowa zaparzyła herbaty. Nalała dwie szklank. Trzeciej niema dla kogo...

Siedli przy stole — przed nimi wianek — gdzie im tam do jadła!

Posiedzieli. powzdychali... Zegar wybił dziesiątą... Uścisnęli się...

W mieszkaniu rozległ się szept wieczornego, przed spoczynkiem pacierza...

. . . .

— Śpisz ty matka?

— Nie. A ty?

— I ja nie. Zdrzemnąłem się, ale...

— Ale co?

— Ale ocknąłem, bo śnił mi się...

— Franuś?

— Nie! Janek! Janek... i prosił...

— Panno Najświętsza!

— Jakbym żywego widział.. Wyschnięte rączęta z mogiłki wyciągnął, potem cały wyszedł i prosił...

— Prosił?..

— Prosił o wianek taki, jak dla Franusia... Słyszysz matka?

— Słyszę.. Jezu miłosierny! A odpuść nam nasze winy... Toć to przecie także nasze dziecko...

— Biedak chudzina... Żal mnie we śnie ścisnął... Już pięć lat mija, jakeśmy nieboraka pochowali i nic... To nie dobrze, matka!

— Nie dobrze... Przecie to krew nasza, rodzona!

— I dobre to było, ciche... Pamiętasz ty? — chodzić nie mogło — a jak z nas które wchodziło do izby, to trzepotało rączętami z radości, niby ptaszek...

— Prawda, prawda... Jezu odpuść! Przyśnił ci się... Wiesz ty ojciec, że myśmy chyba względem tego biedaka zawinili?

— I pogrzebu takiego nie miał, jak Franuś...

— Skrzywdziliśmy maleństwo... Nie był nam w sercu.

Westchnęli obojo.

— Więc prosił o wianek, powiadasz?

— Jakby mi do ucha mówił: „Tatusiu, i na moją mogiłkę kwiatków przynieście!..

Już pięć lat leżę bez niczego... Już pięć lat czekam żeby was z matką z pod ziemi zobaczyć...« I rączęta składał do mnie...

Zapłakał majster Szymon. Zapłakała pani Agata. Sen ich do reszty odleciał. Teraz mieli dwie boleści w sercu, obie jednakie, równie serdeczne, dwie żałoby bez granic i bez różnicy — tylko wianeczek był jeden.

. . . .

O świcie wypadł majster Szymon z mieszkania z pustym koszykiem w ręku. Poszedł za Żelazną Bramę — bez targu kupił szarfę atłasową, lampek i cały pęk nieśmiertelników. Były różowe, białe, i żółte, jak blada twarzyczka nieboszczyka Jasia...

Siedli z żoną oboje za tymże stołem. Siedząc, nic nie mówią — tylko spoglądają po kątach łzawo, z większą jeszcze boleścią w sercach, niż wieczorem. Matka splata drugi wianek, ojciec podsuwa pęk po pęku.

Wianek gotów — takusieńki, jak dla Frania i wstążka podobniutka.

Każde wzięło po jednym i poszli z modlitwą na ustach na Powązki.

Arwor.

Pamiętniki Bismarcka.

Ostatecznie uchylono rąbek tajemniczej zasłony, jaka zakrywała dotąd, wiele razy wspominane pamiętniki »żelaznego księcia«, któremu przypadło w udziale zajmowanie swoją osobą świata, nawet po śmierci, i wywoływanie u wielu ludzi uczucia strachu, podobnie, jak to czynił za życia.

Nie ulega, bowiem, wątpliwości, że pamiętniki Bismarcka zawierają wiele rzeczy, które żyjącym jeszcze osobom mogą być bardzo nieprzyjemne.

Wedle doniesienia »Münchener Allg. Ztg.« myśl do napisania pamiętników podsunęła Bismarckowi jeszcze w r. 1889 księgarnia nakładowa Cotty. Książę jednak odpowiedział, że pamiętników nie pisze i że nie uczyni tego, jak długo pozostanie na urzędzie.

I rzeczywiście, dopiero po swem ustąpieniu, a na powtórne zapytanie, uczynione przez radcę Krönera, szefa firmy Cotta i po omówieniu z nim dokładnie całej sprawy we Friedrichsruh, wziął się eks-kanclerz do dyktowania pamiętników Lotarowi Bucherowi. Pamiętnikom tym nadał sam książę tytuł: »Myśli i wspomnienia«, co wskazuje, że nie stanowią one zaokrąglonej całości, lecz są zbiorem pojedyńczych epizodów. Już w zimie 1890/91 r. powstał prawie cały pierwszy tom pamiętników. Przez kilka miesięcy Bucher codziennie rano stenografował po dwie godziny, a popołudniu przepisywał dyktando. Bismarck nosił się wówczas z myślą ogłoszenia pewnej części swych pamiętników jeszcze za życia, odstąpił jednak od niej, co nie było z jego strony, dodajmy od siebie — wielką ofiarą, gdyż zgodził się na ogłoszenie ich zaraz po śmierci. Inni ludzie na jego stanowisku mieli przynajmniej tę delikatność, że polecali ogłaszanie swych wspomnień osobistych dopiero w kilka lat po śmierci, tak, aby żyjący nie czuli się nimi dotknięci.

Później dyktowanie pamiętników postępowało w tempie o wiele wolniejszem. W roku zaś 1893, gdy książę poważnie zasłabł, wezwało jego otoczenie Krönera, aby mógł odebrać przynajmniej część rękopisu, który też natychmiast zawieziono do Sztutgartu i oddano do druku w jak największej tajemnicy, pomimo której do dzienników dostała się wiadomość o istnieniu pamiętników. Po śmierci Buchera spisywał »myśli i wspomnienia« w dalszym ciągu za dyktandem księcia dr. Chrysander. Oprócz tego, pomagali księciu, co do stworzenia strony literackiej pamiętników, dokładnego przytaczania dat historycznych i t. p. redaktor »Münch. Allg. Ztg.« Jacobi i prof. Kohl, któremu też powierzono wydanie »Myśli i wspomnień«.

W przyszłym miesiącu ukażą się dwa tomy pamiętników. Tytuły rozdziałów, zawartych w trzech tomach są następujące: 1) Czasy aż do pierwszego zjednoczonego sejmu. 2) Rok 1848. 3) Erfurt, Ołomuniec, Drezno. 4) Dyplomata. 5) Wojna krymska, stronnictwo »Wachenblattu«. 6) Sanssouci i Koblencja. 7) Po drodze między Frankfurtem a Berlinem. 8) Odwiedziny w Paryżu. 9) Podróże, regencja. 10) St. Petersburg. 11) Stan przejściowy. 12) Rzut oka wstecz na politykę pruską. 13) Dynastje i szczepy. 14) Gabinet w czasie konfliktu. 15) Konwencja Alvenslebena. 16) Epizod gdański. 17) Frankfurcki kongres panujących. 18) Król Ludwik II bawarski. 19) Szlezwig-Holsztyn. 20) Nikolsburg. 21) Związek północno-niemiecki. 22) Depesza emska. 23) Wersal 24) Walka kulturna. 25) Zerwanie z konserwatystami. 26) Intrygi. 27) Zakres działania. 28) Kongres berliński. 29) Trójprzymierze. 30) Przyszła polityka Rosji. 31) Rada stanu. 32) Cesarz Wilhelm I. 33) Cesarz Fryderyk III.

Na śmierci »mądrego« cesarza urywają się na razie pamiętniki pierwszego kanclerza zjednoczonych Niemiec. Urywają się — lecz tylko na razie — gdyż »Münch. Allg. Ztg.« nie twierdzi wcale, jakoby nie miały się ukazać w dalszym ciągu. A ten dalszy ciąg, będzie ciekawy.

Tragedja miłośna.

Nowella.

Napisał *Ignacy Jastrzębiec*

(Ciąg dalszy patrz nr. 25).

Poczciwy rotmistrz nic nie odpowiedział. Opuścił głowę i pogrążył się w milczeniu. Łzy stanęły mu w oczach. Otworzył medaljon zawieszony przy dewizce i długo się w niego wpatrywał, Wreszcie rzekł:

— Prawda, było to jednak bardzo dawno. Kochałem szalenie dziewczę niewinne. Przed wybuchem powstania listopadowego, prosiłem o jej rękę i ślub miał się odbyć w karnawale. Jakaż ona była piękna i dobra. Patrząc się na nią, myślałem, że jestem w siódmem niebie i marzyłem o szczęściu nadziemskiem. Podczas wojny, korespondowaliśmy ze sobą. Wymaszerowałem potem na Litwę z karpusem Giełguda i listy się urwały. Wraz z innymi, poszedłem na wygnanie i dopiero w dwa lata później dowiedziałem się, że moja Anna, złamała przysięgę i poślubiła adonisa gładkiego i bogatego. Chciałem wracać do kraju i zabić obydwoje. Popadłem jednak w ciężką chorobę, a gdy powstałem z łoża, brakło sił i energji. Dzieciaku! nigdy szczerze nie kochaj, bo kobiety są straszne. Każda z nich zdradzi cię, a jeżeli masz serce, zginiesz marnie.

— Nie wszystkie są takie — przemówił Henryk.

— Wszystkie, wszystkie. Wierz memu długiemu doćwiadczeniu. Baw się niemi, jak cackiem, lecz nigdy nie pokazuj głębi swej duszy, bo inaczej marnie skończysz.

Z kolei, Henryk się zamyślił. Rotmistrz pił wino szklanka za szklanką, pokręcał wąsa i mówił coś do siebie.

— Co robisz dziś wieczorem? — nagle zapytał.

— Może pójdę do opery, jakkolwiek zrobiono mi propozycję udania się na bal maskowy do teatru *Gerbino.*

— Pewno będzie tam twoja bella?

Henryk się zarumienił.

— Mam cię ptaszku. Ukrywasz tajemnicę przed swoim przyjacielem. Wiesz bracie, pójdziemy razem. Chcę się raz przyjrzeć maszkarom włoskim.

— Nie mam żadnej ochoty.

— Słuchać, a nie rezonować. Jesteś tylko porucznikiem powstańczym, a ja rotmistrz pierwszej armji na świecie. Czy ty wiesz kotku, co to za wojsko było za księcia Konstantego? A więc subordynacja. Punkt o godzinie 11. wieczorem, masz się tu stawić do apelu. Naturalnie elegancko ubrany. Musimy tam zrobić jaką konkietę.

— Będziesz mnie czekał naprożno.

— Miljon bomb, kartaczy i granatów. Co ty młokosie ośmielasz się stawić opór przełożonemu — wrzasnął zaperzony rotmistrz.

— Dobrze, już dobrze, pójdziemy.

— To co innego. Wypijemy na »waletę« butelkę Asti i w drogę. Trzeba pomyśleć o toalecie.

* * *

Kto nie zna włoskiej maskarady, ten nawet nie ma przybliżonego o niej pojęcia. Krzyk i wrzawa nie do opisania. Maski się popychają, tłoczą. Muzyka gra walca, lecz w tłoku tańczyć nie można. Domina intrygują znajomych i obcych. Pieroci i pierotki bez żenady kankanują. W kącie, cyganka ciągnie kabałę i wcale się nie wstydzi chować oflarowane liry do kieszeni. Handlarz niewolników prowadzi dwie piękne greczynki i głośno woła, że są do nabycia. Piemoncki patron zabawy *monsiu Gianduja*, wkracza na salę z licznym orszakiem. Rozrzuca *confetti* z mąki i każdy ucieka, aby nie być obsypanym i dobrze powalanym. Za nim wpada kilkunastu arlekinów i biją trzepaczkami na prawo i lewo. Rozbójnik kalabryjski uderza jednego z nich. Towarzysze przypadają mu na pomoc i wywiązuje się walka na pięści. Karabinierzy wyrzucają ich za drzwi, wśród syku i gwizdania. W lożach panuje spokój. Tutaj świat arystokratyczny, zmieszany z półświatkiem. Wielkie damy udają kokotki, te zaś naśladują szyk księżnych i margrabin. Flirt uprawia się na całej linji i Wenus króluje niepodzielnie.

Gdy nasi znajomi weszli, zabawa dochodziła punktu kulminacyjnego. Henryk niespokojnie zaczął się rozglądać po sali i szukał oczyma Łucji. Spostrzegł ją, lecz w gronie młodzieży, zaliczającej się do *high-lifu* turyńskiego. Młody książe Bianchi, trzymał ją za rękę i szeptał do ucha czułe słowa. Czy słuchała z przyjemnością, nie mógł wiedzieć, bo czarna larwa przykrywała twarz, a wachlarz zasłaniał oczy. Szalona zazdrość zaczęła nim miotać, lecz cóż mógł poradzić? Rywalizować z magnatami i miljonerami, byłoby głupotą. Nie przybliżył się nawet i z twarzą posępną, zaczął spacerować.

— Pokażże mi swoją najdroższą — szepnął mu rotmistrz.

— Patrz tam. Otaczają ją najwięksi dżentelmani.

— Nie widzę twarzy, ale postawa wspaniała. — Kobieta rasowa w całem znaczeniu tego słowa.

— Ładna?

— Zachwycająca.

— To źle. Stracony jesteś, mój bracie.

Rotmistrz wziął pod rękę Henryka i obydwaj zbliżyli się do *casta-divy*. Łucja nawet nie zwróciła na nich uwagi.

— Papiery twoje nie szczególnie stoją — szepnął znowu rotmistrz. — Pakuj manatki póki czas i dawaj drapaka.

— Zapóźno.

— Dałem ci dobrą radę, a ty rób, jak uważasz za stosowne.

Henryk cierpiał męki Tantala. Słyszał ciągły śmiech Łucji i słowa urywane. Bawiła się wybornie i była w swoim żywiole. Podeszła kwiaciarka z koszem bukiecików. Książe Bianchi zakupił wszystkie i rzucił pod nogi śpiewaczki. Podniosła jeden z ziemi i ofiarowała swemu wielbicielowi. To dobiło naszego bohatera. Wziął szybko pod ramię swego przyjaciela.

— Chodźmy już, bo się palę. Gotów jestem zrobić awanturę.

— Tegoby tylko brakowało. Wstąpimy na kolację, bo głód jest złym doradcą.

Po chwili, siedzieli przy jednym stoliku w restauracji Biffa. Henryk milczał, rotmistrz zajadał kotlety z dobrym apetytem i popijał ulubione Asti.

— Czemu nic nie jesz?

— Nie mam żadnego apetytu.

— Znasz nasze przysłowie — „nie wierz gębie, połóż na zębie".

— Nie mogę.

Nagle wpada na salę kilkanaście domin, debarderów i pierotów. Powstaje hałas, służba zestawia stoliki i całe towarzystwo usadowiło się. Henryk spostrzegł Łucję, Ferrego, jego Anitę i Rosittę.

— Co widzę *mio Errico* jest tutaj — krzyknął Ferro. — Zbliżże się do nas i nie odgrywaj roli pustelnika.

— Nie jestem sam.

— Zabierz swego przyjaciela i jazda. Podszedł do Henryka i rotmistrza, wziął ich za ręce i przedstawił swoim znajomym. Z umysłu, czy przypadkiem, wskazał Henrykowi miejsce obok Łucji.

Po ostrygach i kuropatwach, zawiązała się przy stole rozmowa ożywiona.

— Powiedz mi szlachetny cudzoziemcze, czy zawsze jesteś kawalerem o smutnej postaci — rzekła Łucja do swego sąsiada.— Przyglądałam się panu bacznie podczas maskarady i zdziwił mnie jego ponury wygląd.

— Sądzę, nie miałaś pani czasu — odparł Henryk. – Otaczało cię tylu adoratorów.

— *Caro mio*, nie są oni straszni. Gdyby był tylko jeden, miałbyś prawo być zazdrosnym.

— Ja! czyż posiadam to prawo?

— Jeżeli kochasz prawdziwie, a w co wierzę, to musisz podlegać temu brzydkiemu uczuciu.

— Serce moje dotąd wolne

— Było, ale teraz już zajęte.

— I któż to taki wziął je w posiadanię?

— Pewna osóbka.

— Znasz ją pani?

— Wybornie.

— Jak się nazywa?

— Łucja Viale.

Henryk osłupiał. Więc jego tajemnica jest już odgadniętą.

Łucja spojrzała mu w oczy. Wzięła jego rękę, silnie uścisnęła i dodała:

— Nie trzeba nigdy tracić nadziei.

Na twarz młodzieńca wystąpił gorący rumieniec. Serce zakołatało, a myśl jego pogoniła w stronę gaju Armidy. Widział się już szczęśliwym i tryumfująco spojrzał na rotmistrza. Ten, pogroził lekko palcem i szepnął:

— Stracony jesteś bezpowrotnie.

*

W tydzień potem otrzymał woniejący bilecik z prośbą, aby się pofatygował do mieszkania Łucji. Zastał ją przygotowującą się do podróży.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał.

— My śpiewaczki prowadzimy życie koczownicze. Dziś tu, jutro tam. Nie sądziłam jednak, abym tak prędko miała Turyn opuścić.

— Więc pani serjo wyjeżdżasz?

— Tak, *mio caro*.

— A gdzie?

— Do Konstantynopola. Jestem zaangażowana do opery włoskiej na Pera.

— I długo pani zabawisz?

— Nie wiem — zależy od powodzenia. Napisałam list do pana, bo chcę mu zrobić jedną propozycję.

— Słucham.

— Jedź pan ze mną.

Henryk posłyszawszy te słowa, oniemiał. W jednej sekundzie przeszedł całą gamę uczuć ludzkich. Rozkosz, zwątpienie w siebie i nadzieja, ogarniały jego serce po kolei. Obliczył jednak ogromne koszta i ze smutkiem nabrał przekonania, że podobna podróż nie zgadza się z jego budżetem. Po chwili namysłu rzekł:

— Nie mogę.

— Dla czego?

— Mam wstąpić do szkoły wojskowej.

— To trudno! A szkoda, bo zobaczyłbyś pan wiele ciekawych rzeczy. Przedewszystkiem wieżę, gdzie mieszkała Hlero i do której, Leander co noc przepływał Bosfor. Każdym razem narażał życie, lecz chętnie poświęcał się, aby tylko zobaczyć swoją kochankę. Dziś czasy się zmieniły. My jesteśmy zawsze jednakowe, ale mężczyźni zrobili się kozłami i pigmejami.

— Gdyby szło tylko o narażenie życia, z pewnością nie zawahałbym się...

— Więc o cóż panu idzie...

— Powiedziałem już. Wstępuję do szkoły.

— Nie mamy o czem mówić. Sądzę, że mnie pan odprowadzisz na kolej. Pociąg do Genui odchodzi o godzinie II. wieczorem.

— Będę niezawodnie. Ośmielam się także zanieść prośbę, abyś pani czasem wspomniała o mnie i w chwilach wolnych napisała krótki liścik.

— Czy to panu zrobi przyjemność?

— Największą.

— Dość mało pan żądasz. Sądziłam jednak, że moja osoba daleko większą będzie miała wartość i dla tego zaproponowałam wspólną wycieczkę.

Henryk oddałby duszę za kilkanaście tysięcy franków, lecz dziś Lucyper ma przepełnione piekło i nię kupuje już grzeszników. Nic nie odpowiedział i wyszedł rozgoryczony.

Po odjeździe Łucji, niefortunny kochanek odciął się od świata. W dzień uczył się i oczekiwał na listonosza, który nie przychodził. Wieczorem wychodził na przechadzkę i błąkał się nad brzegami rzeki. Słuchał śpiewu gondoljerów, zapuszczał wzrok w głębię wody i często mu się zdawało, że widzi wypływającą syrenę o twarzy ukochanej. W przystępie halucynacji słyszał jej śpiew melodyjny, wzywający go do rzucenia się w nurty. Pod wpływem rozmarzenia, zawołał:

— Idę, już idę i gotował się do skoku. Byłby niezawodnie wpadł w rzekę, gdyby go nie powstrzymała silna ręka.

— Stój warjacie! co robisz, chcesz się topić?

Henryk się obrócił i ujrzał rotmistrza Kawkę. Oprzytomniał i zaczął mu tłómaczyć, że się pośliznął.

— Nie pleć głupstw. Szalejesz z miłości i o mało nie przeniosłeś się na łono Abrahama.

— Zdaje ci się tylko.

— Nie zdurzysz starego. A teraz marsz, wracamy do miasta. Mam pragnienie i chcę się coś napić. Jako dobry katolik żegnam się tylko wodą, ale jej nie znoszę w żołądku.

Wstąpili na kieliszek wina Asti. Henryk pod wpływem trunku rozgadał się i opowiedział ostatnie swoje przeżycia. Rotmistrz słuchał uważnie, kiwał głową i bębnił palcami po stole. Wreszcie przemówił:

— Mój drogi! nie ma dla ciebie lekarstwa. Znam dobrze twoje usposobienie nerwowe i przepowiadam, że skończysz tragicznie. Musisz natychmiast opuścić Turyn i nigdy do niego nie powinieneś wrócić. Szkoda, a wielka szkoda, bo jesteś dobry i poczciwy chłopiec. Zasługujesz na lepszy los i przy twoich zdolnościach, mógłbyś nawet zrobić karjerę, chociażby i w armji włoskiej. Kobieta zgubi cię bezpowrotnie i nie przyniesiesz nikomu korzyści. Jako twój przyjaciel, zrobię jeszcze jeden wysiłek i postaram się o wyrwanie twojej osoby z przepaści.

— Cóż zamyślasz zrobić?

— To już moja rzecz.

Rozstali się i Henryk w złym humorze powrócił do domu. Przemyśliwał o słowach Kawki i silił mózg na odgadnięcie, w jaki sposób oddali go z Turynu. Z umysłu nie chodził do restauracji Gaszparika, gdyż nie chciał się zetknąć z rodakami. Listu także od Łucji nie odebrał, co go przyprowadzało do rozpaczy. Robił długie wycieczki. Zachwycał się wonią kwiatów, śpiewem ptaków i powoli zaczął się uspakajać. Mniej już myślał o Łucji i zrawało mu się, iż odzyska dawny spokój. Wziął się febrycznie do nauki i pilnie studjował dzieła Montecuculego, Vaubana i innych strategików. Kawka zajrzał kilka razy do niego i po zapytaniu, czy nie miał jakich wiadomości, odchodził.

Nadszedł czerwiec. Henryk prawie uzdrowiony z miłości, zamyślał jechać do Pinerolo, celem zdania egzaminu. Miał opuścić Turyn wieczorem i był zupełnie gotowy do drogi. Rano przyniesiono mu listy. Jeden z nich był opatrzony stampilją — Konstantynopol. Rozerwał szybko kopertę i kilkakrotnie go odczytał. Brzmiał on jak następuje:

„Drogi panie!

Wybacz, że tak długo milczałam, ale byłam tak zajętą, iż nie miałam chwili wolnej na prowadzenie korespondencji. Zresztą namyślałam się, czy pisać do pana, lub nie? Trzy miesiące upłynęło od ostatniego naszego widzenia się i pewno już zapomniałeś o mojem istnieniu. Wy mężczyźni kochacie tylko, gdy widzicie przedmiot swoich uczuć obok siebie. My kobiety nie zapominamy swoich uczuć, nawet o tysiące mil. Cobym panu nie powiedziała w żywe oczy, to mogę piśmiennie się zwierzyć. Otóż, szlachetny polaku, obrońco wolności i ludów uciśnionych, posiadasz mały kącik w mojem sercu. Chciałam cię wymazać z pamięci, ale trudno, było to nad moje siły. Jaką formę przybierze nasz romans i czy się zakończy ślubem, lub tylko obopólną przysięgą przed Stwórcą, nie wiem, ale to pewne, że dotrzymam święcie wszelkiego zobowiązania. Będę wierną, bo i ty również musisz mi odpłacić stałością. Inaczej biada tobie. Włoszka nigdy zdrady nie przebacza. Wracam na początku lipca. Myśl o mnie, bo ja cię tu codzień wspominam

Twoja

Łucja".

Jeżeli Henryk po przeczytaniu listu nie oszalał z radości, to tylko może podziękować Opatrzności. Zwykle poważny, zaczął skakać, śpiewać, rzucił wszystkie książki na ziemię i wyleciał na ulicę. Biegł szybko, roztrącał ludzi i pędził w stronę ogrodu publicznego, aby tam w cieniu oleandrów i drzew pomarańczowych, nacieszyć się swojem szczęściem. Usiadł na ławce, silnie odetchnął i chociaż list umiał na pamięć, zaczął go ponownie odczytywać.

Nagle, jak duch Banka, stanął przed nim Kawka.

— O! ho! pewno pismo od lubej? — rzekł rotmistrz.

Henryk w tej chwili byłby go posłał na dno czeluści Tartar mitologicznych. Szanował jednak bardzo starego żołnierza i powitał go z uśmiechem.

— Gdyby i tak było, cóż w tem złego?

— Pokażno, co pisze.

Henryk, acz niechętnie, podał list. Rotmistrz przejrzał go uważnie i głosem silnym wypowiedział:

— Chciałem cię ocalić i postanowiłem zawiadomić twoich rodziców o szaleństwach, jakich się tu dopuszczasz. Nie uczyniłem tego, bo wiedziałem, że im wyrządzę wielką boleść. Obecnie stanowczo ten krok uczynię.

— Nie zrobisz tego, ja ci zakazuję.

— Ty mnie zakazujesz, dzieciaku. Ty! ty! czy wiesz, co powiedziałeś. Jedno jeszcze słowo, a zobaczysz, co się stanie. Miljon szwadronów! stary Kawka musi słuchać impertynencyj i od kogo? — od mleczaka, co ledwie odrósł od ziemi.

Henryk się pohamował i przeprosił rotmistrza. Upłynęło jednak z pół godziny, nim się ten udobruchał. Sapał, klął pod wąsami, mruczał, wreszcie zbliżył się do Henryka i serdecznie ucałował go w głowę.

— Ty chłopcze nawet nie wiesz, jak cię kocham. Wszyscy moi najbliżsi już wymarli i na cmentarzu lubelskim sterczą tylko ich mogiły. Zostawiłem zdrowych, bogatych, używających życia. Dziś, widzę tam daleko same groby. Postarzeli, posiwieli i pomarli. Niedługo przyjdzie i moja kolej. Nie zatruwaj mi ostatnich dni, bo do ciebie się przywiązałem i jesteś teraz całą moją rodzina.

— Cóż więc mam uczynić?

— Zerwij z tą śpiewaczką.

— Nie mogę.

— Jakie powody?

— Bo ją ubóstwiam.

— I ja kochałem, a dziś nawet nie myślę o przeszłości. Gdybym uważał, że to tylko szał przemijający, nicbym nie powiedział. Ale ja ciebie znam. Jesteś usposobienia sentymentalnego i wszystko dla niej poświęcisz. Zrujnujesz się moralnie, materjalnie i fizycznie. Wyssie z ciebie wszystkie soki żywotne i rzuci, jak but podarty. Nie ona to pierwsza i ostatnia. Czy byłeś w teatrze Scribe'go, na przedstawieniu dramatu Feuilleta, zatytułowanego „Dalilla"?

— Naturalnie.

— Postąpi tak samo z tobą, jak księżna Falconieri z Roswoeinem.

— Na Herkulesa! — wstrząsnął Henryk. — Przecież są kobiety uczciwe i wierne.

— U nas w Polsce, ale nie we Włoszech. Może jeszcze wrócimy do kraju. Wyszukam ci żonę piękną, dobrą i rozumną. Jesteś dość zamożny i możesz żyć bez troski, aż ci wydzwonią na pogrzeb. Teraz nie myśl jeszcze o tem. Posiadasz młodość, skarb największy. Świat cały stoi przed tobą otworem i pytam się, dla czego masz tu tonąć.

— Nie myślę popełnić samobójstwa.

— Zobaczymy.

— Jesteś ptakiem złej przepowiedni.

— Bo cię chcę ratować.

— Dziękuję za pomoc. Jestem ci wdzięczny, kochany rotmistrzu, za twoją dla mnie życzliwość i bądź pewny, że kocham cię, jak mego drugiego ojca. Ale serca mi nie rozdzieraj. Nie zaliczam się do głupców i wiem dobrze, czego pragnę.

— Chwilowo ustępuję, ale pamiętaj, gdy zobaczę, ze rzeczy poszły za daleko, uwiadomię ojca.

— Bądź spokojny; przecież mam rozum.

Po tej burzliwej rozmowie, Henryk i rotmistrz podążyli do miasta w najlepszej harmonji. Na placu Wiktora Emanuela, grała orkiestra gwardji narodowej, z powodu imienin królewskich. Usiedli obydwaj przed kawiarnią i poili się *canzonetami* włoskiemi.

— Wiesz co, rotmistrzu, że są przyjemne chwile w życiu ludzkiem. Pije się rozkosz pełnym puharem. Kocha się, dobrze je, słucha śpiewu i muzyki i zachwyca się wonią kwiatów.

— Za młody jesteś i nie znasz odwrotnej strony.

— Jestem stworzony do szczęścia. Urodziłem się pod dobrą gwiazdą i dotąd nie miałem, ani jednej chmurki na horyzoncie mojego życia.

— Poczekaj tylko nieco — odparł flegmatycznie rotmistrz — a zobaczysz, że życie człowieka, to jedno pasmo cierpień.

— Dla innych, ale nie dla mnie.

— Zobaczymy.

Kawka zatopił wzrok w jego rozradowanej fizjonomji. Była nad wyraz wesołą. Tryskała z niej werwa i wewnętrzne zadowolenie. I nic dziwnego. Wszak Łucja miała niebawem zjawić się w Turynie i Henryk przyobiecywał sobie utonąć w rozkoszach nadziemskich.

* * *

W pierwszych dniach lipca, Henryk wrócił późno do domu. Spał snem sprawiedliwego, gdy nagle posłyszał silne uderzenie dzwonka.

— Kto tam?

— Woźny z telegramem.

Szybko drzwi otworzył i z niecierpliwością rozwinął papier niebieski. Zawierał on tylko te słowa: „Przyjeżdżam ósma wieczór. Łucja“.

Rozwarły się przed nim niebiosa. Posłyszał śpiewające chóry archaniołów i serafinów, a w sercu zapanowała radość, którą trudno opisać. Biło ono silnie i żeby się uspokoiło, bohater musiał wypić kilka szklanek wody. Wyszedł na ulicę i dziwiło go bardzo, że ludzie nie patrzą się na niego z uwielbieniem i nie zazdroszczą mu szczęścia.

Punkt ósma, zaszedł pociąg na dworzec kolei genueńskiej. Z wagonu pierwszej klasy wysiadła Łucja. Przywitała się z rodziną i podała rękę Henrykowi.

— Cóż mój trubadurze, bardzo za mną tęskniłeś?

— I pani się pytasz?

— Wiedz mój panie, że jutro już odjeżdżam do Medjolanu. Śpiewać tam będę w teatrze *Carcano*.

— Czy serjo? Więc znowu sam pozostanę.

— Medjolan, to nie Konstantynopol, a mądrej głowie, dość na słowie. Uścisnęła go serdecznie za rękę i cicho szepnęła — Mieszkan *via di San Carlo*, numer drugi. Czekam cię pojutrze w Medjolanie.

Wraz z siostrą odjechała, a Henryk podążył za nią do miasta.

Biedny nie może się kochać w kobiecie pozującej na uczciwą, gdyż romans podobny pochłania zawsze znaczne pieniądze. Przez drogę obliczał swoje fundusze i z przerażeniem przekonał się, że rozporządza zaledwie dwustoma frankami. Kwota ta okazała się za małą do odbycia wycieczki romantycznej. Wiedział dobrze, że Kawka ma kilka tysięcy franków, ale czuł instynktownie, iż mu na ten cel nie da jednego centima.

Zaszedł do kawiarni *Madera*. Spostrzegł kilku znajomych włochów, grających zawzięcie w *baccarata*. Niepomny na przysłowie, zasiadł do stolika. Gdy przyszła kolej na niego, wystawił 50 franków. Przeciągnął dziewięć razy z rzędu i przed nim piętrzył się stos złota i banknotów.

— Dość tego moi panowie — rzekł. Wygrałem więcej, niż potrzebuję na pewien interes. Żegnam panów.

Gracze smutnie za nim popatrzyli, ale we Włoszech nieznanym jest wyraz — rewanż. Grają tam dla wzajemnego obdarcia się. Gdy nie mają pieniędzy, stawiają zegarki, pierścionki, nawet majątki. Szczęśliwy, odchodzi z pełnemi kieszeniami i żartuje sobie z niefortunnych partnerów.

Henryk poszedł do restauracji. Kazał sobie podać butelkę szampana i przy trunku musującym obliczył zysk. Przeszło 3.600 franków posiadał gotówki. Aż nadto, aby wystarczyło na wszelkie wydatki. Zdziwiło go trochę szalone szczęście, ale wytłómaczył sobie, że bożek miłości sprzyja mu we wszystkiem.

Wesoły wrócił do mieszkania.

Na trzeci dzień, o godz. 4. po południu, jechał już powozem na *via di San Carlo*. Łucja przyjęła go nadzwyczaj serdecznie i czule. Rzuciła mu się nawet na szyję i serdecznie ucałowała. Widocznie włoszka nie była obojętną i odczuwała dla niego pewien rodzaj przyjaźni, lub też nawet miłości.

— Czy długo myślisz zabawić! — zapytała.

— Jak najdłużej. Dopóki tylko nie znudzisz się moją osobą.

— Ja, za dwa tygodnie kończę występy. Potem jestem wolną na dwa miesiące.

— A więc jedźmy w świat.

— Dokąd?

— Do Szwajcarji, Niemiec, Polski, gdzie wreszcie zechcesz.

— Po co tak daleko. Jedźmy na brzegi jeziora Como. Tam tak pięknie i uroczo.

— Zgoda. (C. d. n.)

Ciekawe rzeczy.

Najmniejsze rzeczyospolite. Do największych republik należą Stany zjednoczone, które liczą dziś przeszło 70,000.000 mieszkańców i zajmują olbrzymie przestrzenie ziemi. Są jednak w świecie tak małe rzeczpospolite, iż zaledwie wiadomo o ich istnieniu. Oto wykaz republik najmniejszych na świecie.

Republika Goust, jest najmniejszą ze wszystkich, co do obszaru. Republika Tavolara, najmniejszą co do ludności.

Goust zajmuje przestrzeni tylko 1 milę. Położoną jest w górach Pirenejskich, między Francją, a Hiszpanią; jest ona uznaną przez oba kraje. Republika ta liczy 130 mieszkańców, jest rządzoną przez prezydenta i Radę z 12 członków złożoną. Założoną została w r. 1648. Prezydent jest kolektorem podatków, asesorem i sędzią. Goust nie ma kościoła, duchowieństwa, ani cmentarza; mieszkańcy chodzą do kościoła poza ich krajem i chowają nieboszczyków w dolinie sąsiedniej. Tam też odbywają się śluby i chrzty.

Republika Tavolara jest oddalona o 12 mil na północny wschód od Sardynji. Jest to wyspa pięć mil długa, a pół mil szeroka. Jej ludność liczy 55 mieszkańców, w tej liczbie mężczyźni, kobiety i dzieci. Kobiety razem z mężczyznami głosują co roku i wybierają prezydenta i sześciu członków do rady, którzy nie pobierają żadnej pensji za swe usługi. Mieszkańcy utrzymują się z rybołóstwa i z chodowli owoców i jarzyn. Republika ta nie ma, ani wojska lądowego, ani marynarki.

Olbrzymia armata. Amerykanie odlewają obecnie armatę, jakiej jeszcze do tej pory nie było. Biuro patentowe wiedeńskie S. Fischera pisze, że ten kolos ma ważyć 126 ton, to jest 6 ton więcej, jak największa dotąd odlana armata Kruppa w Essen, a która była na wystawie w Chicago. Kaliber jest 0,406 m., długość wynosi 14.98 m., a średnica przy dolnym końcu 1.52 metra.

Nabój waży 1,043 kgr., a więc o 43 kgr. więcej jak jedna tonna; a prochu do jednego naboju potrzeba 453 kgr. Pocisk z tej armaty ma dosięgnąć odległości 25 km., a koszta zbudowania tego olbrzyma armaty mają dojść do 2 i pół miliona złr.

Króliki dojące kozy. Na posiedzeniu wydziału zoologicznego westfalskiego towarzystwa dla nauk i sztuk pięknych, podał profesor dr. Landois niezwykły szczegół. We wsi Telgte, dwie kozy dawały coraz mniej mleka. Zaczęto badać i przekonano się, że króliki, będące razem z temi kozami w jednym chlewie, kolejno cisnęły się do wymion kóz leżących i wydajały je doszczętnie. Usunięto króliki, a kozy znów dawały mleka obficie, jak dawniej.

Czy cukier szkodzi zębom? Utarło się z dawien dawna mniemanie, że spożywanie słodyczy szkodliwie wpływa na zęby. Oparte jest ono na spostrzeżeniu, że ludzie jedzący dużo cukru, mają złe zęby. Najnowsze badania odwróciły jak to się powiada kota ogonem. Nie zęby psują się od obfitego jedzenia słodyczy, jeno ludzie o zębach zepsutych z jakiejkolwiek przyczyny (najczęściej z powodu wadliwego składu kości,) czują instynktowny pociąg do cukru, który w rzędzie substancyj odżywczych tak ważną odgrywa rolę. W przeciwnym razie nie można by zrozumieć, dla czego mieszkańcy strefy tropikalnej, spożywający nierównie więcej cukru od nas, mają jednak w regule świetnie utrzymane zęby. Powyższe uwagi odnoszą się jednakowoż tylko do czystego cukru, a nie do jego przeróbek, gdyż limoniady, konfitury, bombony i t. p., istotnie źle działają na zęby, zawarte w nich bowiem kwasy niszczą glazurę.

Jaskółki, a gołębie pocztowe. Najdoskonalszym posłańcem, czy listonoszem, jest niewątpliwie jaskółka, czego dowiodła następująca próba. W Compiègne wypuszczono wraz z kilku gołębiami pocztowymi jaskółkę, której dla lepszego rozpoznania, zabarwiono skrzydła jasną farbą. Ptactwo to przywieziono poprzedniego dnia z Antwerpji. Otóż po wypuszczeniu na wolność tych lotnych posłańców, gołębie chwilę krążyły w powietrzu dla zorjentowania się, jaskółka zaś odrazu poszybowała w kierunku Antwerpii, dokąd przybyła w 68 minut; że zaś odległość z Compiègne do Antwerpji wynosi 255 klm., przeto jaskółka leciała z szybkością 62 metrów na sekundę. Olbrzymia to chyżość, nawet w porównaniu z gołębiami pocztowymi, które odległość tę przebyły w 3 godzinach, zatem z szybkością 23 metrów na sekundę.

Podobno przedsiębiorcy myślą na serjo o użyciu jaskółek w miejsce gołębi, które dla szybkości swojej uniknąć mogą tem łatwiej niebezpieczeństwa, grożącego im od drapieżnego ptactwa.

Dżuma.

Dżuma, zwana morem, albo morowem powietrzem, znana była od dawna u wszystkich ludów Europy i Azji. W wieku VII, VIII., IX. i X. panowała morowa zaraza w Bizancjum, Rzymie, Francji i Niemczech. W roku 1090 na zarazę tę umarło w Kijowie w ciągu dwóch tygodni 7000 osób. W wieku XII. i XIII. szerzyła się po Grecji i Syrji, gnębiąc wojska krzyżowców. W roku 1221—1224 wyludnia w Polsce liczne wsie i miasta. W roku 1242—1243 dziesiątkuje wojsko króla Ludwika, który z zarazy tej umiera. W latach 1347—1352 mór panuje po całej Europie bez przerwy W samej Florencji liczono 100.000 trupów. W roku 1360 umiera w Krakowie 20.000 ludzi, zaś w roku 1386 w Smoleńsku, ze wszystkich mieszkańców tylko 10 osób pozostaje przy życiu. Kraków był przez mór po kilkakroć wyludniony; było to np. w roku 1472; zaś w roku 1548 umarło w Krakowie 20.000

ludzi, a w roku 1650 przeszło 40.000. Klęska ta wypłoszyła wówczas tatarów z Polski. Według współczesnych świadectw, epidemie morowego powietrza najczęściej powstawały w skutek głodu po wojnach, oraz spustoszeniach, jakie wyrządzała szarańcza. W r. 1590 szarańcza spadła na Rusi na 2 łokcie wysokości. Zgłodniały lud, nakarmiony chlebem z jemioły, ziół polnych i liści drzewa, puchnął i w 3 do 5 dni umierał. Powietrze zwykło wkradać się od strony Turcji i Azji.

W XVI. wieku spostrzegamy pierwsze wyraźne dążenia do rozsądnego ograniczenia zarazy. Wenecja w roku 1504 zaprowadza kwarantanny dla zarażonych okrętów, a już w roku 1580 lekarz Massarja zakłada szpitale i szopy dla chorych. W XVIII. i XIX. wieku, mniej już panuje dżuma, skutkiem coraz lepiej wykonywanych przepisów ostrożności. Wówczas spostrzegamy epidemie moru tylko w Egipcie, Syrji i Turcji. W roku 1811 w Stambule, w ciągu 6 miesięcy zmarło 200.000 ludzi. Obecnie dżuma nie szerzy się po cywilizowanych krajach Europy, jest to bowiem choroba, powstająca z zaniedbania najpierwszych zasad zdrowotności, tam tylko, gdzie brak porządku i czystości odpowiednio przygotowuje glebę.

Dżuma objawia się przedewszystkiem zapaleniem gruczołów, któremu w cięższych wypadkach towarzyszy dżumowe zapalenie płuc. Po okresie wylęgnienia, trwającym $4^1/_2$ do 6 dni, choroba wybucha gwałtownie. Pojawia się nagle gorączka i obrzęk gruczołów, zazwyczaj jednego tylko, rzadziej pod pachą, jeszcze rzadziej na szyi, karku, lub innych okolicach ciała. Zdaje się to zależeć od miejsca zakażenia, które powstaje przeważnie w skutek drobnych starć skóry. Chory umiera w ciągu 3 do 5 dni. Jeśli gruczoły zropieją, choroba przewleka się i kończy niejednokrotnie wyzdrowieniem. Na 100 zadżumionych, umiera przeciętnie 80 do 90. Dżuma jest chorobą zakaźną, która nie udziela się przez powietrze, lecz tylko przez zetknięcie. Stwierdził to już Mojżesz i stwierdzają wszystkie nowożytne doświadczenia. Zakażenie odbywa się przez skórę i przez przewód pokarmowy, oraz także przez przewód oddechowy. Badania wykazały, że najczęstszem źródłem zakażenia jest ropa gruczołów i plwocina chorych na dżumę. Między chińczykami i indjanami szerzy się dlatego choroba najczęściej rodzinami. Na dżumę padają również zwierzęta, jak owce, bawoły, świnie, oraz szczury i myszy, a nawet owady, więc także one mogą być przenośnikami zarazy. Ze środków ochronnych, najlepsze skutki otrzymano przez ścisłe odosobnienie chorych i dezynfekcję wydzielin. Znaczne zmniejszenie epidemii w Bombaju, przypisać należy ścisłemu przeszukiwaniu domostw, po których chorzy, stosownie do panujących przepisów, bywają ukrywani i jak najrychlejszemu odsełaniu zapowietrzonych do szpitali.

Wpływ księżyca na pogodę.

Jak daleko w przeszłość sięga historja i podanie, zawsze upatrywano jakąś zależność pomiędzy pogodą, a księżycem.

Źródło tych poglądów niewątpliwie leży w pierwotnym kulcie, jaki oddawano ciałom niebieskim, z którego w następstwie rozwinęła się astrologja; przeżyły one jednakże pogaństwo i astrologję i do dnia dzisiejszego licznych jeszcze mają zwolenników. Dziś jeszcze często rolnik trzyma się przypowieści kalendarzowych, na zasadzie pogody, panującej przy pewnej fazie księżyca, wróży o pogodzie całego miesiąca. a nawet z samego wyglądu księżyca daleko wyciąga idące wnioski. Charakterystycznem jest, iż reguły kalendarzowe nie uległy w treści swej żadnej zmianie przez dwa tysiące lat, od czasu, kiedy je podał Aratos w swoich Diosemia, a powtórzył po nim Virgili w Georgicach. W ciągu tego okresu napisano mnóstwo całych traktatów o gospodarstwie rolnem, opartych jedynie na regułach księżycowych; świadczy to o wielkim konserwatyzmie ludności wiejskiej, która pomimo, iż reguły te nie były oparte na niczem, jeno na starożytnych wierzeniach i fantazji poetów, a zatem w większości przypadków zawodnych, pozostała im wierną aż do ostatnich dni. Wiara ta jest tak głęboką, iż nawet dziś, gdy ścisłe badania wykazały całą bezzasadność wszystkich przepowiedni, opartych na zmianach księżyca, nieraz słyszeć się daje zdanie: księżyc wprawdzie nie ma wywierać wpływu na pogodę jednakowoż go wywiera. A jednak, dzisiaj nietylko teorja, ale i statystyka bardzo szczegółowa i obejmująca długi okres czasu, nic więcej wykazać nie zdołała, jak tylko złudzenie, którego ludzie trzymają się uparcie, ulegając jakiejś suggestji wiekowej. Zobaczymy, do jakich rezultatów w tej kwestji doszła nauka.

Jak wiadomo, przypływy i odpływy oceanów, są wynikiem przyciągania księżyca. Od czasów Newtona, który odkrył tę prawdę, starano się zbadać i dokładnie określić wpływ księżyca na atmosferę ziemską, która, podobnie jak morze, powinna mieć swoje przypływy i odpływy atmosferyczne, musiałaby się ujawnić w wahaniach stanu baremetru, a wiadomo, iż ciśnienie barometryczne jest jednym z najważniejszych elementów meteorologicznych, od których zależną jest pogoda. Najsławniejsi matematycy zeszłego stulecia poświęcili swoje siły, ażeby obrachować wielkość wahań barometru, zależnych od wpływu księżyca, szczególnie wówczas, gdy akademia paryzka badania w tej dziedzinie uczyniła przedmiotem zadania konkursowego. Wielkości, jakie otrzymano, były w ogólności nie wielkie, jednakowoż niedostateczność użytych metod matematycznych nie pozwala polegać zupełnie na otrzymanych rezultatach. Nader sumiennie i wszechstronnie zajął się tą sprawą Laplace, sławny autor »Mechaniki niebieskiej«. Znalazł on, iż przypływ atmosferyczny, zależny od księżyca, wynosi zaledwie 0.056 mm. Opierał on się w swoich badaniach na 4.752 spostrzeżeniach, dokonanych przez Bouvarda od r. 1815 do 1823. Według Laplace'a, liczba tych spostrzeżeń była zbyt mała, aby rezultat otrzymany można było uważać za ostateczny. Potrzeba było do tego przynajmniej 40 tysięcy spostrzeżeń. Na podstawie większej liczby obserwacyj, przy zastosowaniu metody Laplace'a, otrzymał Bouvard tylko 0.018 mm. dla przypływu księżycowego, t. j. wartość trzy razy mniejszą, niż Laplace.

Późniejsze liczne badania wykazały, iż wpływ masy księżyca na atmosferę niewątpliwie istnieje, co dałoby się sprawdzić za pomocą barometru tylko w pasie międzyzwrotnikowym, gdzie wznoszenie się i opadanie barometru odbywa się bardzo regularnie; wynosi on nie więcej jak 0.1 mm.

W Europie i w ogóle w szerokościach średnich, wahania, od księżyca pochodzące, łączą sie tak i mięszają z licznemi od innych przyczyn zależnemi wahaniami, iż dla wyodrębnienia ich, potrzebaby kilkudziesięcioletnich obserwacyj, odpowiednio specjalnie i do tego celu prowadzonych. Wypływa stąd, iż jeżeli księżyc z tej przyczyny na pogodę wpływać może, to jest to wpływ tak minimalny, tak podrzędny w porównaniu z innymi, wchodzącymi tu w grę czynnikami, iż można go najzupołniej nie uwzględniać.

Jeżeli przyciąganie księżycowe nie wywiera żadnego wpływu na pogodę, więc, być może — prócz przyciągania, istnieją jeszcze inne działania księżyca na ziemię? Zobaczmy, jakie jest działanie cieplikowe księżyca. Kwestją ciepła księżycowego zajmowało się wielu uczonych i po wynalezieniu najczulszych przyrządów do zmierzenia ciepła, do których należy przedewszystkiem stos termiczny Melloniego, w istocie zdołano wykazać działanie ciepła księżycowego.

Między innymi Davy znalazł, iż księżyc w pełni podnosi temperaturę na powierzchni ziemi o 0.003 stopnia C., w kwadrze zaś tylko o 00.003 stopnia. Liczby te zmniejszają się jeszcze znacznie, gdy księżyc znajduje się nisko nad poziomem, albo powietrze jest niezbyt przezroczyste.

Baille zaś znalazł, że księżyc w pełni daje nam tyle ciepła, jak czarna powierzchnia wielkości 42.0 ctm. kwadratowych, utrzymywana przy temperature 100 stopni C., umieszczona w odległości 35 metrów. Jest to ilość tak drobna, iż tylko przy pomocy najczulszych przyrządów skonstatowaną być może.

Atmosfera ziemska niewątpliwie pochłania znaczną część ciepła księżyca, w rzeczywistości bowiem księżyc, którego powierzchnia, zwrócona ku słońcu, rozgrzewaną być musi do 100 stopni i wyżej, promieniuje daleko silniej ku ziemi, aniżeli wykazały pomiary, czynione na powierzchni ziemi.

Ilość ciepła, którą ziemi daje księżyc, oczywiście bardzo wielką być nie może, gdy zważymy, że odległość księżyca od ziemi wynosi 50 tysięcy mil — w każdym razie musi ona się zmieniać wraz z fazami księżyca. Jeżeli zatem jakieś zmiany w atmosferze zachodzą, których źródłem jest ciepło księżyca, to muszą one znajdować się w ścisłym związku z fazami księżyca. Ponieważ wiara w zależność pogody i jej zmian od faz i odmian księżyca jest bardzo rozpowszechnioną, więc, być może, źródłem jej są w istocie fakty, stwierdzone przez wielowiekowe doświadczenie ludzkości, a przyczyną ich ciepło księżycowe. Zobaczymy jednakże, co nam mówi o tem statystyka.

Celem statystki w danym razie jest pokazać, ile razy w pewnym dość długim okresie czasu z nastaniem pełni, nowiu, lub kwadry następowała zmiana pogody i ile razy zmiany nie było — z drugiej strony ma pokazać, ile razy na wszystkie zmiany pogody, jakie zaszły w rozważnym okresie czasu, zmiany te zaszły przy pełni, nowiu. lub kwadrach, a ile razy w innych dniach. Ztąd okaże się, czy dni, na które przypadają główne fazy księżyca, wyróżinają się od innych, czy nie. Takie statystyki zostały przeprowadzone przez rozmaitych meteorologów dla rozmaitych miejsc. Z tych statystyk niekiedy istotnie zdawało się wypływać, iż zmiany pogody częściej mają miejsce w czasie pełni, lub nowiu, aniżeli w innych dniach.

Tak np. z zestawień, dokonanych przez Toalda dla Padwy na zasadzie 50-letnich spostrzeżeń, wypłynęło, iż prawdopodobieństwo, że zmiana pogody zaszła w czasie nowiu, równa się jednej szóstej, w czasie zaś pełni czterem piątym. Jednakże Fuldo powiada, iż taka zmiana może zajść jeden dzień za wcześnie, lub jeden dzień za późno i w ten sposób powyższe prawdopodobieństwa dotyczą zawsze nie jednego dnia, ale trzech. Takie samo prawdopodobjeństwo jednakże odpowiada prawie wszystkim innym trzydniowym okresom w miesiącu. Statystyki, dokonone dla Londynu, Brukseli, Paryża, Bordeaux itd. nietylko nie potwierdziły wniosków Tolda, ale w rezultatach wykazały wielką rozmaitość; gdy mianowicie z jednych wypływało, iż częściej zmiany pogody przypadały na zmiany księżyca, z innych wypływał rezultat odwrotny.

Ztąd wypływał bardzo prosty wniosek, iż tam, gdzie rezultaty przemawiały na korzyść wpływu księżyca, było to tylko trafem i księżyc, jeżeli miał jaki udział, to tylko bardzo mały.

Przytoczymy naprzykład rezultaty Gronana, wyprowadzone na zasadzie 100-letnich obserwacyj w Niemczech północnych. Znalazł on, iż na 4.952 zmian księżyca, jakie miały miejsce w tym czasie, 1.743 razy zaszła zmiana pogody, 3.189 razy zaś nie zaszła. Przy nowiu stosunek liczby dni, w których zaszła zmiana, do liczby dni, w których zmiany nie było, był równy 0,68, przy pierwszej kwadrze 0,44, przy pełni 0,62 i przy ostatntej kwadrze 0,71. W tych liczbach trudno dopatrzeć się jakiejś zależności prawidłowej od fazy. Przeprowadziwszy taką statystykę dla wszystkich dni w miesiącu, otrzymamy dla jednych stosunek większy, dla innych mniejszy, ale żadnej prawidłowości nie znajdziemy.

Większość przepowiedni pogody, podawanych w kalendarzach, albo w tak zwanym stuletnim kalendarzu, opiera się na tajemniczym wpływie księżyca w połączeniu z mylnie przeważnie pojętymi rezultatami statystyki. Znane prognozy Overziera i w nowszych czasach, szczególnie osławionego Falba, również tylko działanie księżyca i słońca mają za podstawę.

Na zasadzie tego, co powiedziało się wyżej, łatwo wywnioskować, jak mało wzbudzają one zaufania i jak dalece obrachowane są na łatwowierność ludzi, którzy gwałtem chcą być oszukiwani.

Teatr — literatura — sztuka.

Do dzisiejszego numeru zebrała się spora wiązka materjału dla kroniki teatralnej. Zawdzięczać to należy energicznej działalności dyrekcji, która całą siłą pary prowadzi repertuar i daje »premiery« jedna za drugą.

W tym czasie grano dwie oryginalne »premiery«:

Szaławiła, 3 aktowa krotochwila Kazimierza Glińskiego i *Protest Strukczaszego* Antoniego Orłowskiego, także w 3 aktach i także krotochwila, ale kontuszowa.

Szaławiła, sztuka nie mająca, oczywiście pretensji do głębszych motywów, rodzaj bąbla na jasnem przeźroczu zwykłego życia rodzinnego, robiona jest tylko dla śmiechu i cel ten osiąga w zupełności. Publiczność bawi się na sztuce doskonale, śmieje się od ucha do ucha — cóż więcej od krotochwili wymagać? Krytyka w takich sytuacjach, usuwa się dyskretnie i nie powinna mącić wesołości w tych ciężkich zakatarzonych czasach...

Doskonałym szaławitą był pan Wostrowski, a w osobie p. Fiszera miał takiego wujaszka, że drugiego podobnego znaleść jest niepodobieństwem. Żonką szaławiły, malutką i apetyczną, jak brzoskwinia, była p. Czaplińska, a jednak szaławile zachciało się winogron i zaczął się oblizywać na wdzięki kokietującej śpiewaczki, którą grała ponętnie p. Siennicka. Dwie niewielkie role w strannej grze pp. Stachowiczowej i Hierowskiego, dopełniały całości.

Protest Strukczaszego, jest właściwie obrazkiem z czasów saskich. Jako pomysł, zaczerpnięty podobno z jakiejś powieści Kraszewskiego więcej nadaje się na libretto opery komicznej, aniżeli komedji w ramach krotochwili, dla której rzecz tak, jak ją autor zakroił, okazała się za szczupła. Mimo to, autor rozpoczął talentem, od którego można oczekiwać lepszych i pełniejszych prac. Użycie wiersza w *Proteście* i to ośmio-zgłoskowego, nie uważałbym za szczęśliwe — forma to bardzo łatwo prowadząca w djalogu do pospolitego banalizmu, co się też w sztuce p. Orłowskiego często dzieje, choć w ogóle wiersz gładki. *Protest Strukczaszego* przypomina trochę szekspirowską »Poskromienie złośnicy«. Kontuszowa ta krotochwila, choć dość w sytuacjach prosta i nie zdobi ją rysunek postaci wyszukany, nie jest, jednak, łatwa do odegrania ze względu na tło i pewną zamaszystość stylową, którą w grze przestrzegać należy, jeśli ona ma robić złudzenie oddalonych czasów. Artyści nasi pokonali te szkopuły, choć czasem kontusz im trochę zawadzał... Pan Żelazowski najgłówniejszą w sztuce rolę Zbisława puścił stepowym szlakiem i świetnie ją odegrał. Poskromioną żonkę p. Czaplińska otuliła takim wdziękiem, że zajadłość na nią Zbisława, była zupełnie usprawiedliwiona. Trochę większą rolę adonisa w zajęczej skórze, dobrze i z zacięciem charakterystycznem odegrał p. Nowacki. Kilka ról małych okalało główną akcję zamykającą się w trzech powyższych — wśród nich wyróżniała się jeszcze typowo - charakterystyczny żyd, karczmarz, którego p. Feldman odegrał z oryginalną pomysłowością.

Poza główną rolą małżonki Zbisława — autor bardzo mało zostawił do gry dla trzech jeszcze kobiet, zacisnąwszy te role w pewien szablon. Role te grały pp. Cichocka (matkę). Gostyńska (garderobianę) i Kwiecińska (księżnę).

Satelitów kontuszowych Zbisława z fantazją grali pp. Walewski, Wysocki. Kliszewski, Jaworski. Ładnie w kontuszu wyglądał, choć nie miał co do grania p. Antoniewski, jako dworzanin księżnej...

Śliczny, charakterystyczny polonez kończy sztukę, która mimo niedostatków, jakie powyżej wytknąłem, robi sympatyczne wrażenie i wieje pewne ciepło ze sceny na salę teatralną, co też widać na spokojnie uśmiechniętej i zadowolonej fizjonomji, jaka się na twarzach słuchaczy objawia. *Nictensam.*

Operetka: »Bal w operze« już ze sławą warszawskich sukcesów przybył na scenę lwowską. Do chwili, gdy to piszemy, przedstawiono go już *multum* razy. Muzykę napisał do niego Weinberger, libretto zrobiono z dowcipnej znanej farsy francuskiej: *Różowe Domino*.

Charakterystyczną rolę sprytnej subretki śpiewa i gra p. Kliszewska w tej operetce z taką finezją i niezmiernie sympatyczną brawurą artystyczną, że wyprowadza swoją rolą na pierwszy plan, na którym również znajduje się piękny śpiew panny Bohuss. Komiczna gra p. Myszkowskiego wywołuje wybuchy wesołości. Dziarskim chłopcem jest pani Bronikowska. Pan Bogucki, nietylko dobrze gra i śpiewa, ale prozę mówi doskonale, co nie jest, w ogóle, przymiotem artystów operetkowych.

Wystawa operetki, chóry, bardzo ładne tańce i reżyserja, nietylko nic nie pozostawiają do życzenia, lecz przynoszą zaszczyt dyrekcji.

Ale oto jeszcze mamy zdać sprawozdanie z dwóch przedstawień:

Wznowienie Kurpińskiego opery komicznej, przeplatanej prozą: *Bojomir i Wanda*, należy uważać za pomysł szczęśliwy... Stare to, ale jare. Po raz pierwszy we Lwowie wystawiono tę operę w 1819 roku, ale napisana była daleko wcześniej.

Ślicznie śpiewała Wandę: p. Bohussówna równie, jak jej powiernicę pani Kliszewska utrzymując ton figlarny i wesoły.

Tenorową partję nie forsowną, ale ładną śpiewał z dobrem zacięciem pan Malawski. Komikował z humorem p. Myszkowski, a p. Boguckiemu w dramatycznym nastroju było wcale do twarzy, choć go przywykliśmy widzieć na scenie zawsze w masce wesołości i humorystycznych piruetach.

Gejsza, gdyby nie to, że wzięta jest z prawdopodobieństw kolizyj rzeczywistego życia w Japonji — możnaby ją nazwać operetką fantastyczną, tyle w niej barw, kolorytu, jaskrawego tła i nawet pewna dawka poezji. Operetkę tę skomponował anglik: Sidney Jones, libretto napisał Owen Halla, także anglik. I treść operetki posiada żywioł angielski, bo właśnie w kolizję z obyczajami i światem japońskim, wchodzą marynarze i podróżnicy angielscy.

Sama kompozycja muzyczna trzymana jest w tonie spokojnym i na każdym kroku podpierana bywa choreografją. Jest w operetce balet i tańce specjalne wynikające z sytuacji, jak np. »pas de trois« chińskie — ale, oprócz tego wszystko robi się, mówi i śpiewa w podskokach i japońskiej drobniowanej trzęsączce. To urabia tło dziwnie oryginalne. Niektóre ustępy posiadają rzetelną i wyższą wartość muzyczną, inne powleczone pewną monotonnością — pisane nisko — ale wszystko w stylu szlachetnym i czystym. Libretto dowcipne.

Co znaczy »giejsza«?

Gejsza — to córa wesołości, hetera japońska, kawiarniana śpiewaczka, dla której »herbaciarnia«, jest miejscem stałego przebywania i zarobkowania. »Herbaciarnia« w Japonji, jestto dom wesołości. Z nadobnemi »giejszami«, goście bawią się, tańczą, śpiewają — hulają. Operetkę poprzedzą prolog przed kurtyną. Objaśnia on, czem jest »gejsza«. Ślicznie to wypowiedziała pani Bronikowska, a z takim wdziękiem, smakiem i dykcją, że pozazdrościć jej mogła specjalna, utalentowana dramatyczna artystka.

Pani Kliszewska rolą Molly ogarnęła, można powiedzieć, główną sytuację w operetce, a w scenie śmiechu zaimponowała artyzmem kunsztownością wokalną, naturalną swobodą i wdziękiem.

Gejszę ślicznie i niezmiernie umiejętnie śpiewała p. Bohussówna. Pani Kaspowiczowa, niewielką rolę francuski, oczywiście grała po swojemu — doskonale.

Komicznym markizem Imari i gubernatorem był p. Myszkowski — co chwila wywoływał śmiech humeryczny.

Przepysznym chińczykiem i przedsiębiorcą »herbaciarni« był p. Lelewicz. Rola to trzymana, jakby w paroksyzmie febry, niezmiernie trudna. Opanował ją artysta w zupełności i grał z ogromną ekspresją i niepospolitym humorem przy zachowaniu typowej i wybornie uchwyconej rasowej charakterystyki.

Tenor p. Orzelskiego, zwłaszcza w 3-cim akcie zabrzmiał całą siłą i zajaśniał swoją pięknością. Swobodnie, dobrze grał, dobrze śpiewał i doskonale, jak zwykle mówił p. Bogucki w roli Ryszarda: oficera marynarki.

Tłumne zastępy »gejsz«, japońskich dziewdząt, dam, narynarzy, żołnierzy i t. p. wyreżyserowane grały w pysznej harmonji, wywołując co chwila efekta. Tańce układu p. Solnickiego, aranżowane z całą znajomością i precyzją choreograficzną — wykonywane przez p. Solnickiego, oraz pannę Bogdanowiczównę i Lambrini wywołały grzmoty oklasków. Powtarzano je. Wystawa operetki prawdziwie europejska — *splendide!...* *Omega.*

Od Redakcji i Administracji.

P. Antoni Kremzner dla „Białego Orła“ w Rio Grande do Sul (Brazylja). Otrzymaliśmy 25 franków, jako należytość prenumeracyjną na pisma nasze za rok 1898. List przesłaliśmy redakcji „Gazety handlowo-geograficznej

P. Stefan Orłowski, sekretarz Towarzystwa „Stella“ w Berlinie. W Galicji nie wychodzi żadne pismo poświęcone specjalnie stolarstwu ani też nie ukazała się podobna broszura.

Związek naukowo-towarzyski w Krakowie. Przez omyłkę ekspedytora, pisma nasze posłane zostały pod mylnym adresem: na ulicę Lubicz 30 — następne numera wysełamy na ulicę Jasną 6 — czy dochodzą?

Autorom wierszy: „Próba ogniowa“, „Przez łzy“, „Jeden z wielu“, „Romantyczka“ — utwory panów, ani w „Gońcu i Iskrze“, ani w „Wesołym Kurjerku“ drukowane nie będą.

Nadesłane.

Fabryka pudełek

i tutek cygaretowych

W. BEŁDOWSKIEGO

„N O R I S“

w Krakowie, Poselska l. 20.

Jak ocenić dobroć tutki cygaretowej

1) Dobra tutka cygaretowa nie sprawia w ustach goryczy, pieczenia w krtani i na języku, suchości i drapania w gardle, wreszcie nie pobudza do kaszlu.

2) W czasie palenia, bibułka nie powinna naciągać tłuszczem i nie czernieć.

3) Spala się równo z tytoniem, zaś **popiół tytoniu** powinien być **jednostajnej barwy popielatej**, a nie pokryty **czarną żywicowatą** warstwą **zwęglonej bibułki.**

4) Nie powinna być zbyt cienką a przeźroczystą, tylko przeświecające, w dotknięciu palcami wilgnąć, bo zawiera CELLULOZĘ (drzewo) i glicerynę. Te spalając się, odurzają i wywołują krztuszenie się, pieczenie w ustach, krtani i na języku.

Powyższe próby oparte na naukowych i ścisłych badaniach chemicznych i fizycznych, oraz na doświadczeniu wytrzymują Tutki cygaretowe fabryka

„N O R I S“

Dla łatwego wyboru tutek polecam:

Tutki „Maïs Numa“, **„Maïs Albert“**, **białe „Noris“** — do tytoni lekkich

Tutki „Maïs Wallis“, **„Mais de Paris“** — do tytoni średnio mocnych.

Zwracam uwagę na tutki **„Maïs**“ gdyż są znakomitej jakości.

Do nabycia w trafikach i handlach

(7095 — 12 — 10).

Orpheum Klingsberg

ul. Zimorowicza 17. we Lwowie.

Dziś i codziennie występy nowozaangażowanego znakomitego Towarzystwa.

Szczególnie uwagi godna

MISS GICKA,

żonglerka na toczącej się kuli.

Z berlińskiego teatru „Apollo“.

Początek o godzinie 8-mej wieczorem.

(7210-4-3) **Ceny, jak zwykle.**

3% Los austryackiego Zakładu kredytowego ziemskiego

sześć (6) ciągnień rocznie

główna wygrana:

50.000 złr. a. w.

4 % Losy węgier. Banku hipot.

trzy (3) ciągnienia rocznie

główna wygrana:

50.000 złr. a. w.

jakoteż wszelkie losy Czerwonego Krzyża i serbskie 10 frankowe sprzedaje najtaniej

Sokal i Lilien

dom bankowy

i kantor wymiany.

Zlecenia z prowincji wykonujemy bezwłocznie nie doliczając prowizji azna żądanie zaliczkę. 7227-st.)

„Ważne dla wszystkich“

A. GOLDMANN

kupiec w Wadowicach

jako Jeneralny zastępca posiada wyłączną sprzedaż nafty dla całej **Galicji**

z rafinerji hrabiego Andrzeja Potockiego i spółki w Trzebini.

[7193—4—4.]

Do sprzedania

200 parcel budowlanych,

położonych w najpiękniejszej okolicy miasta, w przedłużeniu ulicy Sadownickiej na Nowym świecie — w cenie od 350 *zł.* do 1000 *zł.*

Bliższa wiadomość u właściciela willi ul. 29-go listopada l. 31, lub na miejscu, codziennie w godzinach od 8—10 rano i od 3—5 po południu. [7192-16-8].

Na życzenie pp. Restauratorów, tudzież aby P. T. Konsumentom podać źródła, gdzie można dostać tylko naszego **marcowego piwa,** podajemy poniżej spis lokalów, w których jest na składzie wyłącznie tylko najlepsze

PIWO MARCOWE

z naszych browarów

Baumana Nathana Synowie ulica Ruska l. 18
Blassberg Szymon ul. Kamińskiego 1.
Bohrer M. plac Gołuchowskich 14.
Bukalski Władysł. ul. Szeptyckich 50.
Danilewicz J. Podzamcze dworzec.
Einhorn M. ul. Grodecka 18.
Faff Antoni ul. Grodecka 58.
Flieg Józef ul. Jagiellońska 22.
Fried Jakób Rynek 13.
Fuchs A. ul. Łyczakowska 11.
Garfunkel Ozjasz ul. Sykstuska 2.
Graf F. ul. Karola Ludwika 33.
Guttman Ch. plac Gołuchowskich 4.
Heller Jakób ul. Sobieskiego 24.
Herold Antoni ul. Sykstuska 14.
Jellin Markus ul. Żółkiewska 3
Kalter Szymon ul. Ruska 10.
Katz Mayer ul. Rejtana 9.
Kohn Kolmann plac Gołuchowskich 10.
Kraus Szymon ul. Szpitalna 20.
Landes Jakób ul. Halicka 9.
Landes H. ul. Skarbkowska 4.
Lityński A. ul. Czarneckiego 8.
Löwenheck J. ul. Trybunalska 4.
Łopaciński Wojciech ul. Grodecka 79.
Melzer Bernard ul. Sobieskiego 9.
Piepes B. ul. Wałowa 11.
Probstein W. ul. Sobieskiego 8.
Reich S. Rynek 6.
Reichenstein M. ul. Żółkiewska 29.
Rudziński A. Dworzec główny.
Rudolf ogród jezuicki.
Schapira S. Rynek 26.
Spiegel Moryc ul. Żółkiewska 14.
Stoff S. ul. Sobieskiego 26.
Tenenbaum Wilh. ul. Karola Ludwika 39.
Tomicki R Łyczaków Hotel de Laus.
Töpfer Naftuła ul. Trybunalska 12.
Wang M. ul. Sobieskiego 14.
Wixel Max i syn ul. Ormiańska 5.
Zehngut L. ul. Karola Ludwika 23.

[7195-8-8] Lwowskie Towarzystwo akcyjne browarów.

Nasze **FLASZKOWE PIWO MARCOWE** utrzymują na składzie oprócz restauracyj także następujące handle:

Atlas M. L., Rynek 45.
Bayer Karol, plac Marjacki 9.
Balas Michał, Kazimierzowska 41.
Bodnar Jan, ul. Akademicka 22.
Czarnecki Franciszek, ul. Łyczakowska 17.
Dobrowolski Jan, kawiarnia, ul. Krakowska 8.
Fried Adalbert, ul. Kochanowskiego 1.
Jankowski Jan, ul. Halicka 10.
Kitschales Nobert, ul. Kurkowa 1.
Kozłowski Władysław, ul. Grodecka 79.
Królikiewicz J. Kuczek A, ul. Krakowska 11,
Kulński Jan, ul. Pańska 8.
Langner Andrzej, Rynek 9.
Lödl St., ul. Leona Sapiehy 25.
Mańczukowski Wacław, ul. Długosza 23.
Markiewicz Stan., Rynek 42.
Mayer Henryk, ul. Łyczakowska 1.
Michalik W., ul. Gródecka 50.
Melchert Bron., ul. Wałowa 11.
Mund Jakób, plac Akademicki 2.
Muszyński Jan, Rynek 40.
Narodna Torpowla, Rynek 36.
Nowożeniuk I., ul. Kopernika 4.
Pietrzycki E.. ul. Pańska 17.
Proksz Józef, ul. Łyczakowska
Sprechera J. synowie, ul. Kopernika 9.
Selzer J. ul. Kopernika 10.
Sadłowski J. plac Kapitulny 3,
Szkowron Albert, plac Marjacki 7.
Ważny Jan, ul. Czarneckiego 2.
Zadurowicz Z. i Ska, ul. Akademicka 6.
Życzyński Leonard, ul. św. Mikołaja 15.

[7196-8-8].

Lwowskie Towarzystwo akcyjne browarów.

Wielki skład

złota, srebra, wyrobów jubilerskich, oraz chińskiego srebra

Filipa Süssmana & Co.

we Lwowie

przy ulicy Bernsteina l. 3.

poleca się P. T. publiczności. Także sprzedaż na raty bez podwyższenia ceny. Wszelkie reperaracje uskuteczniają się szybko i dokładnie.

[7206-4-4].

HURTOWNY SKŁAD

szkła porcelany i lamp

Jakóba Moldaua

we Lwowie, pl. Gołuchowskich 5

poleca w wielkim wyborze wszelkiego rodzaju **szkła**, **serwisy**, oraz **garnitury** szklane na piwo, wino i miod. Ceny niskie. Firma istnieje od roku 1884. Magazyny znajdują się przy ulicy **Furmańskiej** i. 7 we własnym domu.

Adres dla telegramów:

Moldauglass, Lwów.

(7208-2-2)

Celem położenia tamy nadużyciom niektórych restauratorów, mam zaszczyt podać do publicznej wiadomości, że

Piwo okocimskie

sprzedają na szklanki tylko następujące firmy:

Adler Markus, plac Akademicki. **Arnold N.** Rynek. **Arnold Wilhelm**, Batorego 18, **Władysław Bukalski**, Szeptyckich, **Ceilerin Wilchelm** ul. Wałowa 9. **Józef Ehrlich**, kawiarnia teatralna. **Drucker Eljasz**, ul. Grodecka **Jakób Fried**, Rynek 13., **Grünfeld Adolf** Janowska 7. **Wilhelm Hellman**, ul. Kaźmierzowska. **Herold Antoni**, Sykstuska 14, **Józef Jankowski**, ul. Halicka, **Kraus Adolf** Skarbkowska 9, **Kostkiewicz August**, ul. Wałowa 13, **Władysław Kozłowski**, ul. Gródecka l. 79., **Michał Landes**, ul. Skarbkowska l. 4., **Jakób Landes** ul. Halicka, **Lemel S.** Grodecka l. 54, **Löwenheck Jakób**, ul. Trybunalska, **Jan Ludwig**, ul. Krakowska l. 7., **Naftuła Toepfer**, ul. Trybunalska l. 12, **Łopaczyński Wolciech**. Gródecka 79. **Nowożoniuk J.**, ul. Kopernika 4 **Pumeranz** Rynek 7, **Karol Przybylski**, ul. Teatralna, na przeciw kościoła Jezuitów., **Abraham Rothberg**, ul. Kaźmierzowska pod „*Złotym capkiem*“, **Antoni Rudziński**, restauracja kolejowa. **Samuel Reich** Rynek, 5, **Hermann Salzberg**, ul. Kołłątaja, róg ul. Kaźmierzowskiej. **Rothberg Maks** ul. Gródecka l. 20. **Schwarzer Osias**. ul. Grodecka. **S. Stoff**, ul. Sobieskiego, **Stelmachów Jan** ul. Chorążczyzna 6. **Sonnenschein Dawid** róg Gródeckiej i Solarni, **S. B. Tänzer**, Chorążczyzna l. 23. **Teofil Teichman**, Dominikańska l. 2. **Ważny Jan** Czarneckiego, **Wolisch K.** ul. Grodecka **Zuckermann**, ul. Zimorowicza l. 18, **Zukermann S** ul. Leona Sapiehy. **Życzyński, L.** róg ul. Mikołaja i ul. Zyblikiewicza. **Zimmer H.**, Kazimierzowska.

Główne zastępstwo i skład piwa beczkowego u pp. **Ozyasza Wixla i Syna** ul. Bogusławskiego l 13. Telefon nr. 6.

Skład piwa flaszkowego u p, **S. Wiesera** ul. Sykstuska l. 14. Telefon nr. 149.

Na przyszłość ogłaszać będę każdej niedzieli w dziennikach lwowskich nazwiska restauratorów, którzy piwo okocimskie sprzedają, a nadto zastrzegam sobie wystąpić w drodze sądowej przeciwko sprzedaży obcego piwa, pod marką okocimskiego. (7224-10-3).

Jan Götz, browar w Okocimie.

Fotografie plastyczne

en relief,

wykonane w zakładzie artystyczno-fotograficznym

Z. KLAFTENA

członka akademii w Paryżu,

Lwów, ul. Jagiellońska 11

zwracają na siebie powszechną uwagę.

Firma ta otrzymała następujące odznaczenia:

Z wystawy międzynarodowej w Londynu 1898 dyplom honorowy, krzyż zasługi i złoty medal; z wystawy międzynarodowej w Paryżu 1898 dyplom honorowy, krzyż zasługi i złoty medal; z wystawy międzynarodowej w Brukseli, złoty medal.

P. Klaften, zaszczytnie znany fotograf, oprócz zwykłych, wykonywa także fotografje na porcelanie, oraz plastyczne en relief w różnych wielkościach.

(7209-4-3)

Wszelkie papiery **i inne potrzeby kancelaryjne. oraz towary. wchodzące w zakres palenia, najtaniej dostać można w nowo otwartym sklepie.**

S. W. Niemojowskiego

Lwów, plac Marjacki l. 8

Cenniki na żądanie franco (7221-st-26)

PIEKARNIA

(7218-st.-45). EDMUNDA WŁOSZYNSKIEGO

we **LWOWIE**, **poleca swe wyroby mączne.**

Składy pieczywa. **ul. Halicka pod l. 14. ul. Krakowska pod l. 17. ul. Kopernika pod l. 10. ul. Sykstuska pod l. 52.**

Odpowiedzialny za redakcję i wydawca: **Fr. Ks. Kowaliszyn.**

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.